

Joanna Bąk

część I z II

Sygnatura notacji: **N0162**

Data urodzenia: **28.05.1958 r.**

Data nagrania: **09.05.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 47 min, część II: 39 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Joanna Jolanta Bąk: Nazywam się Joanna Jolanta Bąk. Urodziłam się 28 maja 1958 roku w Warszawie. I zanim cokolwiek powiem o sobie, to chciałam przede wszystkim bardzo podziękować Instytutowi Pamięci Narodowej za to, że stara się przechować dla następnych pokoleń pamięć i dokumentację dotyczące tego, co robili Polacy, jakie były postawy Polaków w czasie II wojny światowej. Bo wydaje mi się, że im dłużej oddalamy się od tego okresu, a w tym roku będziemy też obchodzić okrągłą rocznicę najazdu Niemiec na Polskę i Związku Sowieckiego, tym trudniej będzie przemówić do następnych pokoleń i do innych osób czy z Polski, czy zza granicy. Na temat prawdziwych faktów, jakie miały miejsce w czasie tego tragicznego okresu.

Konrad Starczewski: No właśnie, pani relacja dotyczy tak tych wydarzeń, które miały miejsce między 1939 a 1945 rokiem. Jakby Pani mogła opowiedzieć o tym, o tej swojej historii, historii przede wszystkim swoich dziadków?

Joanna Jolanta Bąk: Tak, dziadków, pradiadków, 2 wujków. W budynku mieszkalnym, czyli w domu. Tak jakby pani mogła operować dokładnymi nazwami miejsc i nazwiskami. Dobrze, oczywiście. Pan Mosze Bajtel ukrywany był w domu przy ulicy Szosa Lubelska 11 w Otwocku, kod 05-400. W czasie wojny ta miejscowość nazywała się Wólka Młódzka. Po wojnie została włączona do obszaru miasta Otwock. Moi pradiadkowie, mój pradiadek Józef Goleniewski pracował w szpitalu wojskowym w Otwocku i pradiadkowie, czyli Róża, Rozalia i Józef. Goleniewscy mieli mieszkanie służbowe przy szpitalu wojskowym. Natomiast babcia i dziadek, czyli Aleksander i Sabina Smolak, po zawarciu związku małżeńskiego zamieszkali w miejscowości Rutka. I to była miejscowość, która była w znacznej

większości zamieszkała przez społeczeństwo żydowskie. I wtedy właśnie poznali pana Mosza Bajtla i mieli z nim kontakt na zasadzie takiej, że znali pana Mosze. I później została podjęta decyzja, żeby dziadkowie i pradiadkowie wybudowali swój dom, bo dziadek, pradiadek...

Konrad Starczewski: Ta znajomość była przed wojną?

Joanna Jolanta Bąk: Przed wojną, z Rutki, tam gdzie babcia i dziadek mieszkali, czyli Sabina i Aleksander Smolak. Ale w pewnym momencie pradiadek i prababcia Rozalia musieli opuścić mieszkanie służbowe przy szpitalu, bo już tam mieszkali jakiś czas i postanowili razem ze swoją córką, czyli moją babcią Sabiną Smolak i z jej mężem Aleksandrem, kupić działkę i wybudować na tej działce dom. I była taka możliwość, że albo bliżej szpitala, czyli wtedy mniejsza działka, albo już w większej odległości od szpitala wojskowego i wtedy można było kupić większą działkę. Ponieważ dwaj bracia mojej babci, czyli Jan i Ryszard Goleniewscy, jeszcze wtedy nie zawarli związku małżeńskiego, rodzina postanowiła kupić większą działkę, tak żeby wybudować na tyle duży dom, żeby mogli bracia zamieszkać razem z siostrą i rodzicami i moją mamą, która już wtedy się urodziła. Moja mama urodziła się 13 marca 1936 roku. Była jedynaczką. Mama, czyli Krystyna Smolak z domu, nazwisko po mężu Bąk. I oczywiście jako jedynaczka była, wszyscy za mamą przepadali i w związku z tym wyrastała w bardzo kochającej się rodzinie. I bardzo pomagali właśnie pradiadkowie, dlatego, że i dziadek i babcia pracowali. W związku z tym pradiadkowie włączyli się w opiekę nad mamą. Należy podkreślić, że dom znajdował się w bardzo newralgicznym miejscu, dlatego, że umiejscowiony jest... Cała nieruchomość znajduje się bezpośrednio przy trasie Warszawa-Lublin. I ja tutaj wydrukowałam, to znaczy nie ma tutaj pokazanych ulic czy tej konkretnej ulicy Szosa Lubelska, ale to jest widok domu. Nieruchomość znajduje się dokładnie na skrzyżowaniu ulicy Żeromskiego i ulicy Szosa Lubelska, obecnie w Otwocku. Czyli była to o tyle bardzo trudna lokalizacja, że przemieszczały się zarówno wojska, jak i oddziały czy poszczególne jakieś grupy żołnierzy cały czas. Dlatego, że i do Otwocka, i do Warszawy, i do Lublina, i również do miast, które znajdowały się poniżej Lublina, czyli na południe od Lublina. W związku z tym ruch niemieckich wojsk czy niemieckich żołnierzy był bardzo częsty i w związku z tym jakby świadoma decyzja, jaką moi dziadkowie podjęli, żeby przyjąć pana Mosze, no, była wyzwaniem. Było jednak było, była to odwaga.

Konrad Starczewski: I co się wydarzyło?

Joanna Jolanta Bąk: Później, jak dziadkowie wybudowali dom, to przeprowadzili się do tego domu właśnie, do którego również przeprowadziła się Rozalia i Józef Goleniewscy, czyli moi pradiadkowie i dwóch braci mojej babci, czyli Jan i Ryszard Goleniewscy, czyli siedem osób mieszkało w tym jednym domu. Był to duży dom, na parterze były pokoje dla prababci i pradiadka, dla babci i dziadka i dla mamy. Natomiast na górze były zrobione dwa pokoje oddzielne dla Jana i dla Ryszarda. Tak że mieli, spokojnie mogli mieszkać w tym domu. I było to zrobione, te pokoje były zrobione w ten sposób, że na górze, czyli na strychu jest więźba dachowa i sufit był zrobiony w ten sposób, że był zamknięty. Tworzył zamknięte pomieszczenie, czyli między więźbą dachową a sufitem, czyli górą nad tym nad sufitem była mała przestrzeń. Bardzo mała. Na tyle mała, że osoba, która tam mogłaby przebywać, musiała cały czas leżeć. Nie było możliwości, żeby usiąść czy wstać, to w ogóle nie było takiej...

Konrad Starczewski: Ten dom był tak zaprojektowany po prostu?

Joanna Jolanta Bąk: Tak, tak, tak, tak, był zaprojektowany. Oczywiście, tak był zaprojektowany. Chodziło o to, żeby wujkowie mieli komfort mieszkania, bo dom został skończony mniej więcej dwa lata przed rozpoczęciem wojny czy trzy lata przed wybuchem wojny, przed najazdem Niemców. I później właśnie wybuchła wojna. Druga wojna światowa. Dziadek ze względu na to, że toczyła się wojna nie mógł wykonywać swojego zawodu, więc na terenie nieruchomości otworzył taki punkt, gdzie reperował samochody. I też fragment to była kuźnia, żeby można było robić podkowy dla koni. I właśnie z tego względu było i ze względu na lokalizację tej nieruchomości Niemcy przyjeżdżali bardzo często, bo było to po prostu po drodze albo do Warszawy po drodze, albo po drodze do Lublina. I często tak było, że samochody się zjawiały niespodziewanie, bo tego nigdy nie można było przewidzieć. I w momencie, jak np. Niemcy przyjeżdżali, kazali dziadkowi reperować samochód, to wtedy czekając na zreperowanie samochodu, przychodzili do domu i kazali np. babci robić herbatę czy... Były takie sytuacje i to babcia zawsze podkreślała, że jak przyjeżdżali Niemcy, jak na przykład wiedzieli, że przyjadą na dłużej z reperacją jakiegoś samochodu, to wtedy przywozili swoje mięso i kazali babci gotować mięso. Natomiast babcia i dziadek musieli dostarczyć do tego posiłku ziemniaki i jakąś surówkę.

Konrad Starczewski: Nocowali wtedy też?

Joanna Jolanta Bąk: Nie, nie, nie. Nie nocowali, bo to na czas reperacji samochodu. Więc w zależności od usterki czy to była godzina, czy to było, ale w każdym bądź razie przywozili swoje mięso. Natomiast babcia opowiadała, że na przykład już po wyzwoleniu tej części, na zasadzie kontrastu, tylko opowiadam tę historię, że już jak te tereny zostały przejęte przez wojska sowieckie, to Sowieci też ze względu na lokalizację też przychodzili, przyjeżdżali ze swoimi samochodami, ale Sowieci przywozili ziemniaki, natomiast kazali babci dostarczyć mięso, no i surówkę. Więc ja mówię drobna różnica, ale jest to fakt. Tak to było. I na początku babcia próbowała się jakby nie chciała gotować ze strachu. Różne były powody. Nie chciała mieć Niemców w domu, ale była taka sytuacja, że jak babcia wykazywała najmniejszy opór, to właśnie wtedy Niemcy kazali mojej mamie siadać przy stole, przystawiali broń do skroni i się pytali babci, czy gotuje. Tak jak wspominałam, mama była jedyną córką. I później już jak ja się urodziłam i przyjeżdżałam do babci to zawsze... Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak to było, że babcia potrafiła tak szybko gotować. Bo jak my przyjeżdżaliśmy z Warszawy i babcia się pytała: „Asia, na co masz ochotę?” Ja, że mam ochotę np. na ciastka kruche. I pamiętam, że jakimś dziwnym sposobem te kruche ciasteczka były tak szybko upieczone. I dopiero później, już jak dorosłam, to zrozumiałam, jak to się stało, że babcia potrafiła tak szybko gotować. Że jakby ta mobilizacja z tego okresu wojny, jeszcze później. Właśnie, jak pan Mosze przebywał u nas w domu, spowodowało, że babcia błyskawicznie wszystko robiła, jeżeli chodzi o przygotowywanie posiłków, dlatego, że chciała, żeby je Niemcy jak najszybciej zjedli i wyszli z domu. Ale powracając do pana Mosze, bo pan Mosze przyszedł do nas później. W momencie, kiedy Niemcy otworzyli getto w Otwocku, to wtedy wszyscy mieszkańcy i z Rutki, i pewno z okolicznych osiedli, bo to nawet nie była wieś, tylko to było. To była osada, przepraszam, to była osada. Zostali wypędzeni do getta w Otwocku. I według naszej wiedzy w getcie przebywał pan Mosze ze swoją żoną, z rodzicami, dwójką dzieci i bratem pana Mosze. I później zostali tak jak była likwidacja getta w Otwocku, zostali wszyscy zagonieni do wagonów i wagony zostały skierowane do Treblinki.

Konrad Starczewski: Co się stało z żoną, z dwójką dzieci, z rodzicami, z bratem?

Joanna Jolanta Bąk: My oczywiście nie wiemy. Pan Mosze też nie wiedział. Pan Lajbo, czyli syn pana Mosze Bajtla, też nigdy nie udało się nam dowiedzieć. My sprawdzaliśmy w wykazach, które są na terenie obozu Treblinki. Wiadomo, że one w tej chwili są bardziej zaktualizowane. Nigdzie nie ma nazwiska Bajtel, w ogóle. Nawet nie było imienia Mosze. No ale to dlatego, że wiadomo, że głównym celem Treblinki to była natychmiastowa eksterminacja, a nie tak jak np. w Auschwitz-Birkenau, gdzie jeszcze osoby, które zostały przywiezione do obozu eksterminacyjnego czasami pracowały, czasami miały inne funkcje. W każdym bądź razie niektórzy od razu szli do gazu. Niekórzy jeszcze mieli możliwość przeżycia jakiegoś czasu w Auschwitz-Birkenau. W Treblince wiadomo, że było to zupełnie inaczej. I była taka sytuacja, że pan Mosze z jeszcze jednym więźniem pracował przy ogrodzeniu, które było pod napięciem. Oczywiście my nie wiemy kiedy. Natomiast był dosłownie tak jak my znamy z relacji pana Lajpo Bajtla, czyli syna, i z relacji pana Mosze też. Bo jak pan Mosze przyszedł do babci i do dziadka, to to opowiadał, że to był ułamek sekundy, kiedy nie było napięcia w drutach kolczastych.

Konrad Starczewski: Jakaś awaria, spięcie?

Joanna Jolanta Bąk: Nie wiadomo. W każdym bądź razie pan Mosze razem z tym drugim więźniem w jakiś sposób przecięli druty kolczaste i uciekli. Z tym, że każdy z tych panów uciekł w innym kierunku. Nie próbowali uciekać razem, tylko od razu się... To było tak szybko, tak szybko to się wszystko wydarzyło, że pan Mosze powiedział, że tylko biegł. Biegł, bo zaraz wiedział, że...

Konrad Starczewski: My jesteśmy w getcie w Otwocku?

Joanna Jolanta Bąk: Nie, nie, nie. Już jesteśmy na terenie Treblinki. Mówiłam, że rodzina została, cała rodzina została przewieziona z getta w Otwocku do Treblinki. I w momencie jak pan Mosze uciekł z Treblinki to starał się gdzieś dotrzeć. W jakimś momencie znowu nie wiemy w jakim. Nie wiemy gdzie. Nie wiemy gdzie, bo pan Mosze też nie miał świadomości. Został złapany przez Niemców i ponownie włożony do pociągu do Treblinki. I znowu pociąg jechał i w pewnym momencie jeszcze pewne osoby, które były w tym wagonie bydlęcym, próbowały się wydostać, próbowały się uwolnić. I jeszcze tak jak mówię, te osoby, które miały siłę, bo wiadomo, że jeżeli ktoś jechał od iluś tam od jakiegoś czasu, bez jedzenia, bez picia, z jakimiś chorobami, schorzeniami. Takie osoby nie zawsze nawet miały siłę, żeby walczyć o to, żeby się wydostać z wagonu. I pan Mosze jeszcze z jedną osobą, jeszcze z jednym mężczyzną też wyskoczyli. Był jakiś moment, że ten pociąg zwolnił, oni wyskoczyli i też od razu się rozdzielili. I pan Mosze opowiadał babci i dziadkowi, że szedł tylko i wyłącznie nocą, dlatego, że w dzień było... Dzień był za dużym zagrożeniem, dlatego, że ktoś mógł zobaczyć. To była specyficzna sytuacja. W związku z tym starał się gdzieś ukrywać, czy w lesie, czy w zbożu. Zdrzemnąć się czy odpocząć trochę. Natomiast w momencie jak zapadał zmierzch, to wtedy starał się iść i szedł na zasadzie położenia gwiazd. Z tego co mówił babci i dziadkowi to, że jemu się wydaje, że szedł w sumie 3 doby, 3 doby dlatego, że w dzień spał. I tak jak to jest w wielu historiach, że pewnego dnia zastukał do okna babci i do dziadka oczywiście. My nie mamy wiedzy, ile pan Mosze przebywał na terenie Treblinki

zanim uciekł. Tej wiedzy nie mamy. Nie mamy też wiedzy, ile szedł podczas pierwszej ucieczki, zanim go Niemcy złapali i włożyli ponownie do pociągu do Trebłinki. Tej wiedzy my nie mamy. My nie mamy. Natomiast z tego co nam powiedział, że przy tej drugiej ucieczce z pociągu szedł 3 doby.

Konrad Starczewski: A pani dziadkowie nie wspominali jaki to był czas mniej więcej?

Joanna Jolanta Bąk: To znaczy to było przy likwidacji, czyli 1942... 1943. A nie 1942 rok? Czy mnie się wydaje, czy to możemy sprawdzić? Sierpień 1942 roku. Likwidacja getta otwockiego. Czyli to mógł być wrzesień, mógł być październik. Dobrze, to później to sobie już ustalimy. Jakby takie konkretne, kiedy przyszedł którego dnia. Jakby to nie było istotne. To znaczy dla babci i dziadka to tak. Dla nich nie było istotne. Wiadomo, że doszedł. Czyli pan Mosze wracał po nocy. – Tak, przez trzy dni.

Konrad Starczewski: Wie pani może, czy on wspominał, czy ktoś mu pomagał w tym powrocie?

Joanna Jolanta Bąk: Nie mówił nam tego. Nie, tylko z tego, co przekazał babci i dziadkowi, że cały czas w ciągu dnia się ukrywał, że się panicznie bał, że ktoś go zobaczy. Nie. Ja nie mam takiej wiedzy o kimś, kto by mu pomógł w czasie tego dojścia do domu babci i dziadka. Nie mam takiej wiedzy. A mówił, skąd ta decyzja, że akurat chce wracać tam, do Otwocka. Przypuszczam, że wiedział, że nikt z jego rodziny nie żyje. No więc pomyślał o jakiejś rodzinie, którą znał przed wojną, która była życzliwa. I pewno dlatego podjął taką decyzję. Dobrze, to. Ze względu na relacje przedwojenne, ale...

Konrad Starczewski: Czyli on jakby wraca do Otwocka i co się wtedy dzieje?

Joanna Jolanta Bąk: I zastukał, właśnie babcia od razu z dziadkiem otworzyli drzwi i jedyne co babcia powiedziała, to żeby, żeby nie wchodził. Żeby broń Boże nie wchodził do domu. Dlatego, że jak otworzyli drzwi i zapalili światło, to zobaczyli, że na panu Mosze całe ubranie się rusza. Babcia była pielęgniarzką, więc wiedziała, że jest cały pokryty wszami. I jedyne właśnie, co krzyknęła do pana Mosze, żeby nie wchodził, żeby broń Boże nie wchodził, żeby stał przed domem. Bo babcia wiedziała jako pielęgniarzka, że jeżeli wejdzie do domu i wszy się rozniosą, to tego się nie pokona. I szybko pobiegła czy tam powiedziała dziadkowi, żeby przyniósł swoje ubranie i pan Mosze się szybko przebrał, tam umył. Bieżącej wody nie było więc w miednicy na zewnątrz. I później babcia opowiadała, zresztą mama też opowiadała, że jak wrzucili to ubranie pana Mosze, całe ubranie do kuchni, żeby je spalić, to było słychać takie charakterystyczne strzały, takie skwierczenie właśnie tych wszy. I to było takie przedziwne, bo trzeba było całe, absolutnie całe, całe ubranie spalić i umyć. Pan Mosze sam się umył, zanim dostał wodę, zanim dostał jakiegokolwiek pożywienie, no to trzeba było zadbać o to, żeby nie stwarzać jakiegos zagrożenia dla pozostałych mieszkańców. No i dla niego też. No bo dla niego jednak jak on szedł przez te trzy doby, a przedtem też przecież i w pociągu i przedtem znowu uciekał i na terenie Trebłinki, więc nie wiadomo, kiedy tak de facto pan Mosze ostatni raz się umył. Więc może to były tygodnie, a może to był miesiąc? Tego nie wiemy.

Konrad Starczewski: Przyszedł w nocy?

Joanna Jolanta Bąk: Przyszedł w nocy oczywiście. I później został nakarmiony, napojony. I w tym momencie wspominała Pani, że w domu rodzinnym było 7 osób. Cały czas te 7 osób mieszkało też w domu. Cały czas, oczywiście. Także wszyscy wiedzieli, czyli moi pradiadkowie, dziadkowie, mama i dwóch wujków. Wszyscy wiedzieli cały czas, dlatego, że w ciągu dnia pan Mosze chował się w tej przerwie małej między sufitem a więźbą dachową. Natomiast wieczorem, jak już było spokojnie i rodzina oszacowała, że było w miarę bezpiecznie, schodził i był częścią rodziny, był członkiem rodziny, czyli jadł ze wszystkimi kolację, spędzał czas ze wszystkimi, z całą rodziną, więc był członkiem rodziny. Nigdy nie było tak, że ja mówię – tylko wieczorem, tylko wieczorem. Natomiast dlaczego wspominałam o mojej mamie? Dlatego, że mama... Wiadomo, jak to jest. Jeżeli mama była jedynaczką, to też wszyscy mamę hołubili i w momencie przyścia pana Mosze do naszego domu sytuacja uległa zmianie. Mama była towarzyską dziewczynką, lubiła koleżanki i koleżanki przychodziły do mamy i mama chodziła do koleżanek. Natomiast w momencie, kiedy pan Mosze przyszedł, to wszystko się skończyło. I później, jak przyszła zima, znaczy zima była bardziej uciążliwa, ale od momentu przyścia pana Mosze jakby rola mamy się zmieniła. Wiadomo, że jeżeli dziecko się bawi na podwórku, to nie ma... Nie jest to takie bardzo podejrzane. Natomiast jeżeli dorosły by stał na podwórku, nie wiem przez ileś czasu, to mogłoby to powodować zaniepokojenie czy zainteresowanie. Skąd taka sytuacja? Natomiast babcia pakowała mamie zabawki do koszyka i mówiła „Krysiu”, jeżeli coś, jakiś był niepokój, to mówiła: „Krysiu, proszę, idź się baw przy furtce”, jakby było to miejsce przy furtce, czyli przy tej właśnie furtce, która się znajdowała przy ulicy wiodącej do Warszawy i do Lublina. No i mama oczywiście mówiła: „Nie, ja nie chcę”. A babcia mówi: „Nie – musisz, musisz wyjść i bawić się przy furtce”. Więc mama mówi „Nie”, że ona się woli bawić w ogrodzie, bo z tyłu domu był bardzo duży ogród, bo powierzchnia całej tej nieruchomości wynosi 1890 m. 1890 metrów kwadratowych i z tyłu był przepiękny ogród z drzewami owocowymi, z krzewami, gdzie były czarne porzeczki, maliny, truskawki. Czarne porzeczki, czerwone porzeczki, wspaniałe jabłka kosztele, malinówki. Ale niestety mama musiała się bawić przy furtce i to był rzeczywiście problem jakby na początku. To, że nie mogła się... Nawet jakby miała polecenie od rodziców, że „musisz się tam bawić i jeżeli ktokolwiek idzie, jeżeli widzisz, że ktokolwiek się zbliża, to natychmiast biegnij do domu i mów i powiedz kto”, kto idzie. No i później... Bo mama była 5-letnim dzieckiem wtedy. No 1942 rok. 4, 5 lat. Sześć. 6-letnią dziewczynką. Ja mówię jako jedynaczka. Że takie zaufanie do córki mieli pani dziadkowie, że dziecko będzie potrafiło jakby zrozumieć całą tę sytuację. To znaczy nie sądzę. To znaczy to było tak, że babcia po prostu kazała mamie. Mama się buntowała, ale potem to jej jakby weszło. To już było tym rytuałem. Najgorzej mówiła, że było zimno. Że jak było minus 20 to babcia opatulała Mamę: czapka, rękawiczki, szalik jakieś coś tam paletko. Nie wiem jak. „Krysia, bierz zabawki i baw się przy furtce”. No i mama mówi, że już wtedy to po prostu mówi, że już przybiegała. Mówi, że po prostu nieraz tak marzła, że przybiegała do domu i mówiła do babci: „Mamo, ktoś się zbliża”. I wtedy babcia wybiegała, patrzy, nikogo nie ma i mówi „Krysiu, no co ty, co ty robisz? Masz tylko przychodzić wtedy, jak ktoś idzie”. No a mama mówi: „Ale mnie jest zimno”. No i oczywiście najgorzej. Powracam do tego tematu jeszcze sprzed czasu przyścia pana Mosze do domu, kiedy Niemcy przyjeżdżali. Cały czas warsztat. Cały czas, cały czas. Więc ja mówię dopóki pana Mosze nie było, to wtedy było tylko tak, że jak Niemcy Przystawiali broń, to znaczy już później nie przystawiali nawet broni, no bo babcia wiedziała, czym to grozi. Tylko jak Niemcy przychodzili do domu, to od razu babcia wyciągała garnki i od razu się natychmiast brała do gotowania. I starała się tylko, żeby mama gdzieś tam nie była w tym pomieszczeniu. Natomiast po tym, jak pan Mosze przyszedł, no to było jeszcze dodatkowe zagrożenie. Dlatego, że babcia jakby wszyscy wiedzieli, że pan Mosze się ukrywa na górze. W tej malutkiej przestrzeni,

bo to nawet nie było pomieszczenie. To była taka malutka przestrzeń. I teraz tak. Co będzie jak kichnie? Co będzie jak... Różne rzeczy się zdarzają. Więc czasami było tak, że jak przychodzili Niemcy do domu, to już wtedy babcia mówiła, żeby często tak było, że znowu koszyk, mamie zabawki na jedzenie dla pana Mosze na dno koszyka, potem serwetka i na serwetce znowu jakieś zabawki dla mamy i polecenie: „Krysiu, idź się bawić na Strych”. No i znowu mama na początku „A ja nie chcę się bawić na strychu”. „Idź się bawić na Strych”. „Nie, ja wolę do ogródka”. No ale tak było. Mama potem już się przyzwyczaiła, że chodziła się bawić na strych wtedy, kiedy trzeba było zanieść jedzenie np. w ciągu dnia. I tak samo było z wynoszeniem nieczystości, czyli z wynoszeniem nieczystości z góry, nocnik. Starła się mama to robić jak nikogo nie było wiadomo w ciągu dnia, ale czasami trzeba było pójść na górę, sprawdzić jak wygląda sytuacja. No i później to już był taki rytm, że jak Niemcy przychodzili, wiadomo, że trzeba ugotować jak najszybciej, żeby jak najszybciej wyszli. No żeby to zagrożenie jednak było trochę mniejsze, no bo jak Niemców nie było w domu, no to przynajmniej był ten ułamek możliwości, że nie wpadnie im pomysł do głowy, żeby wejść na strych, tylko właśnie żeby ich zająć czymś na dole.

Konrad Starczewski: Skąd ta decyzja dziadków, żeby pomagać, żeby ukrywać pana Mosze? Czy to było tak, że on o to poprosił? Czy sami dziadkowie zdecydowali, bo rozumieli, jaka jest sytuacja, kiedy ta decyzja zapadła i z czyjej strony?

Joanna Jolanta Bąk: To znaczy to było tak naturalne. Czyli jak zastukał do okna i otworzyli drzwi, to już wiadomo było, że zostanie. To było nawet nie było decyzji, nie było zastanawiania się. Tylko jak przyszedł pan Mosze, to trzeba go natychmiast ukryć, ubrać i tak dalej. Były takie sytuacje, że pan Mosze wychodził czasami, ale też wychodził w nocy. Bo to już nam opowiadał syn pana Mosze, że i teraz nie wiem, czy moja mama też, czy tylko syn opowiadał, że przez ten... W tym malutkim, w tej malutkiej przestrzeni, przez to, że musiał cały czas leżeć, no to wiadomo. I po jakimś czasie, jak się leży dzień drugi, trzeci tygodniami, miesiącami. Jest to bardzo trudne i pan Mosze. U dziadków na strychu były dwa większe okna z jednej strony i wyjście na balkon, ale były też takie małe okienka w kształcie jak to się mówi diamentu, czyli w takim kształcie. I właśnie opowiadał później, już po wojnie, mówił, że dla niego najtrudniejsze było to, jak wyglądał przez te małe okienka, bo przez duże nie mógł, bo zawsze go ktoś mógł zobaczyć. Jak wyglądał przez te małe okienka to na przykład widział pieska, który biegał po ogrodzie i się zastanawiał cały czas, że takie stworzenie jest wolne i może biegać po ogrodzie, a on musi cały czas leżeć w tej małej przestrzeni. Mówił, że zazdrościł temu pieskowi, który miał takie poczucie wolności, natomiast on nie. Pan Mosze nie opuszczał terenu tej działki. Nie, właśnie czasami w nocy wychodził, ale czasami. Ale to było incydentalne. Ale właśnie zaraz przejdę do sprawy związanej z tą kryjówką, która została niedawno odkryta.

Konrad Starczewski: Gdzie wychodził?

Joanna Jolanta Bąk: My nie wiemy. Nie wiadomo do kogo. Nie wiemy. My przypuszczamy. Babcia i dziadek przypuszczali i mama, że on był w tak ogromnym... Przebywanie w takiej małej przestrzeni to jest klaustrofobiczne, że człowiek może i strach, i napięcie. Czy np. Niemcy nie przyjdą, czy np. ktoś z rodziny nie wyda. Ja mówię, siedem osób nie mogło nikomu o tym powiedzieć. Skończyło się przychodzenie koleżanek do mamy. Mamie też ograniczono, starano się oczywiście. Babcia nie chciała mówić wprost, że Krysiu, nie możesz mówić o tym, że jest u nas pan Mosze.

Ale jakby starano się mamie dać do zrozumienia, że nie może o tym mówić. Ale dla mamy było... Bardzo trudne było dla mamy to, że nie mogła nikogo do siebie zapraszać, że ona była zapraszana. Natomiast przez te dwa lata nikogo do siebie nie mogła zaprosić i opowiadała o takiej sytuacji, kiedy jakby jej to napięcie, to, że musiała wykonywać absolutnie polecenia mojej babci czy dziadka, bawić się, pilnować, zanosić, znosić, zobaczyć, jak pan Mosze się czuje. Bo babcia jako pielęgniarzka w pewnym sensie dbała o stan zdrowia pana Mosze na tyle, na ile to było możliwe, bo jednak dwa lata. Bo pan Mosze ukrywał się w naszym domu około dwóch lat. I to napięcie spowodowało też, że mama zaczęła mieć bardzo silne migreny. I opowiadała o takiej sytuacji, że to napięcie, które w niej wzrastało, było tak duże, że pewnego dnia wybiegła z domu na teren ogrodu. Ale tak stanęła. Stanęła przy ścianie domu i zaczęła ogromnie szlochać. I szlochała dlatego, że bała się panicznie, że przyjdą Niemcy i ich rozstrzelają. Bo była taka jeszcze sytuacja, że ponieważ to był dom przy głównej ulicy, więc tam przejeżdżali Polacy na rowerach. Przejeżdżały też osoby, które szmuglowały na przykład żywność do Warszawy, bo wiadomo, że były racje żywnościowe bardzo ograniczone przez Niemców, natomiast było to cały czas zaopatrzenie z terenów wiejskich. I kiedyś była taka sytuacja. To było w ciągu dnia, że jeden z tych panów, który szmuglował jedzenie do Warszawy, że Niemcy go zobaczyli i on był wtedy na rowerze i zaczął na tym rowerze uciekać przed Niemcami. I wpadł do nas na teren, na podwórko i chciał do domu wbiec. I wtedy dziadek wybiegł i powiedział, żeby się wynosił, bo wiadomo było, że jakby Niemcy wpadli do domu za nim, to na pewno by cały dom już wtedy przeszukali. I ten pan rzucił rower i uciekł. Gdzieś tam uciekł i przybiegli Niemcy na podwórko i zobaczyli leżący rower i się pytają, czy jest tu mężczyzna, którego szukają. No i dziadek mówi, że nie ma tu nikogo, tylko jest rodzina. I jakoś przekonał Niemców. No nie wiem. Powiedział, że był w domu, nikogo nie widział. Czy powiedział, że tam. Ja tego nie pamiętam dokładnie. Czy powiedział, że kogoś tam gdzieś widział, że to Niemcy tak się zainteresowali, że ten rower leżał na podwórku. No ale dziadek jakby zupełnie spokojnie, w cudzysłowie. Oczywiście na tyle, na ile mógł zapanować nad nerwami, mając świadomość, że pan Mosze jest na górze. I oni odeszli. Ale to znaczy to co jeżeli mogę wspomnieć o dziadku, to dziadek też wtedy z tego stresu zaczął palić jeden papieros od drugiego. I to była ta sytuacja jakby, którą babcia się bała, że może dziadka zdradzić, bo dziadek dosłownie jak byli Niemcy na terenie nieruchomości, to wtedy zapalał jednego papierosa od drugiego. Wynikało to z ogromnego zdenerwowania o życie jedynej córki, rodziny. Ale były też takie sytuacje, że przynajmniej jedno było bombardowanie. I wtedy były ziemianki, tak to się nazywało. Ziemianki gdzieś tam w polach ludzie mieli przygotowane ziemianki na wypadek jakichś nalotów czy przejścia wojska. My takich nie mieliśmy, dlatego że my nie mieliśmy pola i w związku z tym rodzina korzystała z uprzejmości czy z gościny jakiejś innej rodziny. I w momencie jak się zbliżały jakiś oddział wojska czy zbliżały się jakieś słychać było samoloty, to wtedy właśnie cała rodzina uciekała poza... Gdzieś tam, gdzieś. Natomiast pan Mosze nigdy z rodziną nie uciekał, dlatego, że po pierwsze byłoby to zagrożenie dla niego, po drugie byłoby to zagrożenie dla rodziny, bo jest dodatkowa osoba, której inni nie znają. Przynajmniej ta rodzina, do której ta ziemianka należała, więc wiedzieliśmy, że była. Przynajmniej ja wiedziałam, że była gdzieś kryjówka, natomiast ja nie wiedziałam gdzie, bo mój dziadek zmarł w 1967 roku. Czyli byłam zbyt mała, żeby z dziadkiem na ten temat rozmawiać. W czasie zagrożenia, w czasie zagrożenia nalotami czy w razie zbliżania się większych oddziałów niemieckich naloty słychać było samolot i wtedy wszyscy uciekali, jakby uciekali do tych ziemianek. Ze względu na to, że ta druga rodzina, to miejsce, gdzie moja rodzina się ukrywała, nie знаła pana Mosze, to pan Mosze nigdy z nimi nie uciekał, tylko zostawał w innym miejscu. Gdzie to „inne miejsce” było, ja nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że było jakieś „inne miejsce”, jakaś kryjówka. Wiedziałam też, że w tym „innym miejscu” właśnie czasami, zaznaczam „czasami”, czyli krócej czy dłużej. Jak długo, też nie mam na ten temat wie-

dzy czy to była godzina, czy to było pół godziny, czy to na przykład była, czy to był dzień, czy to było kilka godzin, ukrywały się również osoby, które szmuglowały jedzenie do Warszawy. Czyli było to takie miejsce, gdzie w razie zagrożenia te osoby wiedziały, że mogą się ukryć.

Konrad Starczewski: Czy były też tam ukrywane np. osoby przerzucane z getta otwockiego?

Joanna Jolanta Bąk: Tego nie wiem. Ale być może, że tak. Dlatego, że jeżeli była taka wiedza, że jest takie miejsce, to określona grupa osób miała do tego miejsca zaufanie. I wiedziała, że jest to miejsce bezpieczne. I tak jak mówię, było bombardowanie, gdzie jeden z pocisków trafił w werandę naszego domu. I ta weranda została zniszczona. Na szczęście zniszczenia tylko dotyczyły werandy, ale weranda pozostała już zniszczona do czasów odbudowy. Najważniejsze, że pocisk nie trafił w dom. Ale wtedy wiem, że rodzina przebywała w tej ziemiance przez jakiś dłuższy czas. Po prostu trzeba było. Dziadek musiał wrócić do domu, zobaczyć w jakim stanie jest dom, czy w ogóle można bezpiecznie wrócić do domu. Więc takie były jakby wydarzenia w ciągu tych prawie dwóch lat, kiedy pan Mosze przebywał u nas w domu. Ile razy wychodził w nocy, żeby odreagować, czy żeby poczuć, że może wyjść w tym sensie, że nie musi cały czas przebywać w tym małym pomieszczeniu, ja nie wiem. Ale wiem, że były takie sytuacje. Ale zawsze wychodził w nocy, wracał w nocy.